

MEANDER 1–4/2008

JULIUSZ DOMAŃSKI
(Warszawa)

W INSTYTUCIE FILOLOGII KLASYCZNEJ UW*

1992: POWRÓT NA ITAKĘ

Rok 1992 rozpoczął nowy okres mojego życia zawodowego. Miałem już sześćdziesiąt pięć lat, kiedy, jak niegdyś Odyseusz na Itakę, tyle że aż po czterdziestu latach przerwy, oficjalnie i formalnie wróciłem do zawodu filologa klasycznego, który w ciągu owych lat czterdziestu uprawiałem tylko bardzo dorywczo i pokątnie. Było zaś tak.

W czerwcu tamtego roku młody i bardzo znakomity filolog, profesor Jerzy Axer, wtedy wicedyrektor Instytutu Filologii Klasycznej Uniwersytetu Warszawskiego, najoficjalniej zaproponował mi objęcie dodatkowo pół etatu w tym instytucie. Nigdy nie zapytałem – ani wtedy, ani potem – czy pomysł był jego, czy ówczesnego dyrektora IFK UW, a mojego nieco starszego kolegi ze studiów, profesora Oktawiusza Jurewicza, myślę jednak, że pomysł był Axera, człowieka o niezwykłym rozmachu organizacyjnym, pomysłowości i energii, z którym i przedtem, i w tamtych zwłaszcza latach stykałem się dość często na różnych forach, między innymi w Centralnej Komisji do spraw stopni i tytułów naukowych. Miałem zapełnić puste od początku 1992 roku miejsce po odejściu na emeryturę profesor Marii Cytowskiej i przejąć jej funkcję neolatynisty. Być może nawet, że Jerzy Axer proponował mi cały etat i ja go z ostrożności nie chciałem, ale tego nie pamiętam. Jakkolwiek było, pozostając jeszcze na pełnym etacie w IFiS PAN przez pięć lat, w IFK objąłem od 1 października 1992 tylko tę dodatkową połowę etatu. W nowych warunkach ustrojowych nie trzeba było żadnych dodatkowych formalności w rodzaju zgody zwierzchności mojej z IFiS PAN, poprzednio koniecznej. Zrezygnowałem tylko z przedłużenia umowy na dwie godziny wykładu na ATK od nowego roku akademickiego 1992/3.

Obejmowałem te nowe obowiązki nie bez poważnych obaw, których zresztą nie kryłem w rozmowie z Jerzym Axerem. Nie uprawiałem filologii klasycznej

* Kolejny wybór z autobiografii, która wkrótce ukaże się drukiem nakładem Instytutu Historii Nauki PAN i Oficyny Wydawniczej Aspra-JR. Zob. też J. Domański, *Na studiach (1947–1951)*, Meander 62, 2007, s. 150–179.

przez czterdzieści lat inaczej niż dorywczo i kapryśnie, chodząc, by tak rzec, głównie jej obrzeżami. Cóż z tego, że nie tylko nie straciłem wyniesionej ze studiów znajomości łaciny, nawet na pewno ją znacznie wzbogaciłem, kiedy grezystą stałem się wskutek zupełnie nikłego kontaktu ze starożytnymi tekstami greckimi bardzo poślednim, a nawet uczyniłem wręcz regres w stosunku do tego, z czym wyszedłem ze studiów? Cóż z tego, że miałem neolatynistyczny doktorat, skoro od lat nie czytałem prawie żadnej literatury z tej dziedziny, a czytanie moje w literaturze dotyczącej starożytności klasycznej zatrzymało się prawie całkowicie na zasobie lektur również tylko z literatury dawniejszej, niewielkim przecież, bo czterdzieści lat wcześniej byłem jeszcze studentem i lektury moje były z poziomu raczej elementarnego, dobierane przede wszystkim dla potrzeb egzaminów? Nie ukrywałem więc tych moich niedostatków, ale kontrahent zdawał się nie przywiązywać do nich żadnej wagi.

DOLE I NIEDOLE NOWEJ DYDAKTYKI

Po wakacjach skontaktowałem się jeszcze z układającym plan zajęć doktorem Cyprianem Mielczarskim, moim niegdyś doktorantem w IFiS PAN, który zrobiwszy tam swój doktorat pracował w macierzystej placówce uniwersyteckiej, i pełen dobrych chęci zgłosiłem mu jakiś temat dwugodzinny (w skali tygodniowej) wykładu – był to, o ile dziś dobrze pamiętam, niezrealizowany w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej cykl „Sztuki wyzwolone, filozofia, chrześcijaństwo” – co zaś do seminarium, zapytałem, czy miałaby sens materia paleograficzna, mianowicie czytanie pewnego humanistycznego rękopisu, którego fotokopią dysponowałem. Co do tej drugiej propozycji, odpowiedź Cypriana była pozytywna, na pierwszą propozycję zareagował własną sugestią, czybym nie podjął tematu, który wyraził w formule „Erazm z Rotterdamu i humanizm”. Przystałem na nią chętnie i niebawem rozpocząłem zajęcia.

W praktyce okazało się, że zaproponowany przez Cypriana Mielczarskiego temat wykładu zainteresował studentów, natomiast seminarium paleograficzne okazało się całkowitym niewypałem. Na pierwsze spotkanie przyszły cztery osoby i deklarowały wielkie zainteresowanie czytaniem, łatwego zresztą, rękopisu. Na drugim nie pojawiła ani jedna z nich, przyszły za to jakieś inne dwie studentki i wykazawszy taki sam entuzjazm, na następnym nie pojawiły się już, ani zresztą nikt inny. Był więc kłopot, który postanowiłem przeczekać. Przychodziłem jeszcze dwa lub trzy razy, siadałem w sali, czytałem sobie coś i czekałem na ewentualnych zainteresowanych lekturą humanistycznego rękopisu. Na próżno i nie na próżno zarazem. Dwoje młodych świeżo wypromowanych magistrów filologii klasycznej, Ania Skolimowska i Tomek Płóciennik, dowiedziawszy się o mojej przygodzie, wyraziło mi swoją gotowość spotykania się

ze mną, ale zapoznawszy się z moim rękopisem zaproponowali zmianę przedmiotu naszych spotkań. Oboje wspólnie przygotowywali z piętnastowiecznego rękopisu pisanego bardzo niedbałą kursywą edycję listów niejakiego Serafina, mieszczanina krakowskiego, mieli w nim pewną liczbę miejsc niepewnych lub nierozszyfrowanych i proponowali spotykać się co tydzień dla wspólnych prób pokonania trudności. Od razu okazało się, że świetnie przygotowani w paleografii w ogóle, a do tego jeszcze oswojeni z osobliwościami tego konkretnie rękopisu, żadnej właściwie mojej rzeczowej pomocy nie potrzebują, bo są bieglejsi ode mnie, potrzebny im tylko bodziec organizacyjny i swoisty katalizator psychiczny do wspólnej pracy nad dokończeniem edycji. Jakoż spotykaliśmy się do końca roku akademickiego i tak uratowali mi moje seminarium, które bez ich udziału musiałbym odwołać. Do dziś im z wdzięcznością wypominam tę przygodę niepewnego siebie, a jeszcze i niefortunnego u początków starego już nowicjusza. Tak to zaczęła się moja nowa przygoda dydaktyczna, która trwa już rok osiemnasty [...].

Zaczynając w roku 1992 nauczanie, nie mogłem się nadziwić liczbie przyjmowanych na warszawską filologię klasyczną studentów. Było to kilkadziesiąt osób rocznie, czasem ta liczba sięgała nawet dziewięćdziesięciu. Choć połowa mniej więcej odpadała po pierwszym roku, i tak liczba studiujących była nieporównywalna z liczbami, do jakich nawykłem za czasu moich studiów. Wiedziałem rzecz jasna od razu, że większość ich zaczyna od zerowego poziomu obu języków klasycznych, że także i ci, którzy w szkole średniej mieli łacinę (grekę tylko zupełnie wyjątkowo), mieli ją przez okres krótki i przynieśli znajomość ledwie jej rudymentów, że wobec tego wszystko się odbywa w skali jakoś stosownie do tego pomniejszonej, choć ogromnie intensywnej, a warto to na chwałę i studentów, i wykładowców powiedzieć od razu – również z nadspodziewanie dobrymi wynikami. Że jest oczywiście, jak w każdej grupie, znaczne zróżnicowanie rezultatów, wynikające ze zróżnicowania uzdolnień, warunków życiowych, a wreszcie i charakteru oraz życiowej dojrzałości i związanej z nią pracowitości, na ogół jednak doświadczenia moje potwierdziły pewną stałość sposobu bycia studentów filologii klasycznej. Chcę powiedzieć, że ci, których zastałem w moich już starych latach, mimo upływu pół wieku wydawali mi się jakoś *in genere* podobni do moich kolegów z tamtych lat. To była młodzież skromna i poważna, świadoma trudności zdobywania tej podstawowej wiedzy językowej i małej efektywności towarzyskiej czy socjalnej posiadania tej wiedzy, młodzież dość znacznie różniąca się od tej, którą spotykałem jako studentów czy to filozofii, czy dyscypliny artystycznej, łatwiej dających ową towarzyską i socjalną efektywność, łatwiej też wytwarzających błyskotliwe pustosłowie. Budowało to pewną szczególną atmosferę, która sprawiała, że czułem się, jakbym istotnie po latach wrócił do jakiejś swojskości niemal rodzinnej. [...]

LUDZIE IFK (TYLKO NIEKTÓRZY, BO WSZYSTKICH KSIĘGA TA NIE POMIEŚCI)

Znałem bez mała wszystkich starszych wiekiem i stażem, zanim jeszcze zacząłem tam pracować. Dyrektorującego wtedy Oktawiusza Jurewicza z dawien dawna, bo ze studiów jeszcze, tak samo Marysię Pąkcińską, z którą byłem od lat studenckich zaprzyjaźniony, odwiedzaliśmy się nawet czasem nawzajem w domu. Niektórych i z tego pokolenia, i młodszych poznawałem na zebraniach Koła Warszawskiego Polskiego Towarzystwa Filologicznego, na które chadzałem i nawet sam miałem tam w latach osiemdziesiątych parę wykładów. Z młodszych znałem Cypriana Mielczarskiego, a u niego w domu, zaproszony na spotkaniu towarzyskim po jego doktoracie, poznałem osobę nie z personelu naukowego, lecz niezwykle ważną, sekretarkę czy raczej kierowniczkę sekretariatu, panią Urszulę Mazurek. Znałem naturalnie Jerzego Axera, jeszcze najpewniej z PWST, czyli od samego początku lat osiemdziesiątych. Od czasu studiów były mi znane Hanna Szelest i Maria Cytowska, z tą ostatnią byłem nawet w pewnej zażyłości, w każdym razie to ona mnie uaktywniła w PTF, a przedtem, kiedy byłem na wygnaniu ze środowiska filologicznego, okazywała mi wzruszającą życzliwość, jakby nic o przyczynie tego wygnania nie wiedziała, niezależnie zaś od tej prywatnej życzliwości była w roku 1965 recenzentką w moim przewodzie doktorskim, mieliśmy udział w rozmaitych wspólnych imprezach, proponowała mi też kiedyś przelotnie jakąś współpracę nad Erazmem, z której ostatecznie (z nadmiaru zajęć, który i jej, i moją byłą biedą) nic nie wyszło, a wreszcie po jej odejściu na emeryturę zostałem – chyba bez jakiegokolwiek jej udziału doradczego, w każdym razie nic nigdy o czymś takim nie słyszałem – jej następcą neolatynistycznym. Hanna Szelest, jej od lat przyjaciółka, nie okazywała mi tak wielkiej życzliwości, ale i ją znałem dobrze, tyle że na emeryturę odeszła już nieco wcześniej. Nowością byli dla mnie młodszy, częściowo też mi już z PTF znani. W PTF-owskim chyba kontekście poznałem Helenę Cichocką, grezystkę i bizantynistkę, w momencie, kiedy zacząłem w IFK pracować, już po habilitacji i niebawem albo nawet już wtedy profesora uczelnianego. Tam też pewnie poznałem Barbarę Milewską-Ważbińską, neolatynistkę, uczennicę Cytowskiej (potem towarzyszyłem jej dalszej karierze akademickiej jako członek jej komisji habilitacyjnej i chyba też profesorskiej), później dyrektora IFK aż przez dwie kadencje, czyli moją szefową, osobę niezwykle sympatyczną i spolegliwą, z którą, rzecz mogę, zaprzyjaźniłem się rychło i na jej życzenie nawet od niedawna się spoufaliłem, bo mi kazała mówić sobie po imieniu. Dobrymi znajomymi byli oprócz Cypriana Mielczarskiego także dwaj adiunkci – Mieczysław Mejor i Mikołaj Szymański, niegdyś w IFiS PAN uczestnik mojego seminarium i słuchacz moich wykładów o filozofii starożytnej, dziś mi bardzo bliski z powodów, o których potem. Na pewno dopiero wtedy poznałem Barbarę Brzuska, już po doktoracie, lektorke i wtedy lub niedługo potem kierowniczkę zakładu dydaktyki. A z tego zakładu

pamiętam – obok lektora Stanisława Skały, dziś już emeryta – ówczesne młode lektorki: Dorotę Sutkowską, Marysię Poszepczyńską, Beatę Gładowską, Monikę Mikułę, Ludmiłę Bohdanowicz; do nich zaś potem dołączyły inne. Wreszcie była grupa młodych, asystentów piszących wtedy lub kończących prace doktorskie: to Jarosław Jakielaszek, Maciej Staniszewski, Robert Sucharski, Joasia Ziabicka, Kasia Różycka, potem z męża Tomaszuk. Spośród nich *certum quantum* pozostało w IFK dotychczas, nie wszyscy jednak, bo niektórych wchłonęła pączkująca wtedy OBTA, czyli Ośrodek Badań nad Tradycją Antyczną w Europie Środkowej i Wschodniej, utworzony i z niebywałą energią rozbudowywany przez Jerzego Axera, a niedawno przekształcony w Instytut Badań Interdyscyplinarnych Artes Liberales. Mam pokusę o każdym coś powiedzieć, o niektórych nawet dość dużo, i chyba jej ulegnę, zwłaszcza że tak się szczęśliwie potoczyły moje sprawy, że o nikim nie mam do powiedzenia nic złego. A jeszcze dochodzi przecież do tego jakże ważny personel instytutowej biblioteki, jakże mi bliskiej, skorom za młodu cztery lata w jej wnętrzu przesiedział i ją pracowicie przez rok chyba albo i dłużej katalogował. Zacznę tedy, a zacznę od bibliotekarzy właśnie, wśród których też był mój dobry znajomy, niezrealizowany niestety doktorant Bartka Korolca, Lech Koziński, onego czasu biblioteki tej kierownik, który potem z niej odszedł „dla chleba, panie, dla chleba”. A przybyła z kolei, na jego chyba po prostu miejsce, dotychczasowa lektorka Ludmiła Bohdanowicz, moja z kolei niezrealizowana doktorantka w IFiS. To dodatkowe okoliczności, sprawiające, że był to dla mnie w sensie wielorakim powrót na Itakę, do miejsca i ludzi, gdzie już byłem dawniej, i to jak jeszcze!

Zacznę więc od bibliotekarzy, nie od tych jednak dwojga znanych mi wcześniej, lecz od obecnego kierownika biblioteki, Lecha Bobiatyńskiego. Należy mu się to z wielu powodów, a przede wszystkim dlatego, że wielki to oryginał, pełen najdziwniejszych niespodzianek.

Z wykształcenia najpierw germanista z UAM, następnie filolog klasyczny z UW, przejawia aktywność niezmordowaną, nie tylko jako bibliotekarz, a może nawet największą poza swoim zawodem bibliotekarza. Ciągłe coś pisze, o wiele więcej, niż to, co publikuje. Widziałem, w ostatnich już latach, jego nowy podręcznik szkolny łaciny, słyszałem o tysiącstronicowej pracy doktorskiej na temat starożytnego mecenatu (którą od dawna pisze, lecz chyba, żeby tak rzec, z czystą bezinteresownością), ale przecież widziałem i czytałem drobniejsze publikacje, więc jednak zdolny jest coś do końca doprowadzić, nie jest jednym z tych, którzy wiele czynią, ale nigdy niczego nie realizują. Słynie poza tym z czegoś, co jest środowiskową tajemnicą poliszynela, ona zaś taka oto, że pomaga studentom pisać łacińskie streszczenia prac dyplomowych. Porzucam plotki, bo ważniejsze są przecie osobiste między nami relacje. Ważniejsze i bogatsze. Oto kiedy mi siedemdziesięcioletniemu przyszedł do głowy kaprys, żeby sobie zorganizować, w postaci spotkania ze studentami głównie, ale przecie otwartego dla wszystkich

chętnych, jubileuszowe urodziny, a potem jeszcze po roku je powtórzyć i potem jeszcze i jeszcze, aż się nawykami i instytucją stały, Lech Bobiatyński, który miał już na swoim koncie niejedną podobną imprezę, nade wszystko wielokrotne świętowanie 23 kwietnia rocznicy założenia Rzymu, stał się oto na trwałe ni mniej ni więcej tylko mistrzem ceremonii tego mojego kaprysu, a pomysłów mu nigdy nie zabrakło, i to jakich! Na poważnie zaś związała nas na lat kilka ścisła współpraca, kiedy zachciało mi się zostać i być przez dwie kadencje prezesem Warszawskiego Koła PTF, a jego wybrano na sekretarza. Pracowaliśmy dzielnie, o czym jeszcze opowiedzieć trzeba osobno, ja zaś w trybie reminiscencji z czasów realnego socjalizmu mówiłem o nim „towarzysz sekretarz” i tak zawsze o niego pytałem panią Basię Wierzbicką, niewątpliwy numer dwa biblioteki, ilekroć go potrzebowałem, a w zasięgu wzroku go nie było. I jeszcze jedna cecha niezwykła pana Lecha, jak się o nim mówi zawsze: osobliwa zgoła gospodarność żywnościowo-napojowa i równie osobliwa gościnność, z tych, którym nie sposób się oprzeć. W zakamarkach bibliotecznych biurek i stolików przechowuje on mianowicie nie lada zapasy smakołyków, a to ciast, a to owoców, a to kawy i herbaty takiej i owakiej, a ja bezczelnie z tej gościnności korzystam, bom znany i powszechnie szanowany abnegat i hołysz, a i pieczeniarski zarazem.

Skoro zaś pani Basia Wierzbicka weszła na wokandę, to niech teraz będzie słów parę o niej.

Drobniutka, urodziwa, cicha, szybka i sprawna dama należy do tych, które się w ogóle nie zmieniają. Kiedy pomyślę, że znam ją od osiemnastu lat, zdumiewa mnie, że zawsze jest taka sama jak ta, którą zapamiętałem sobie na samym początku. Zawsze robi się pogodniej na duszy, kiedy się ją zastaje za ladą na dyżurze. A bywa w bibliotece z reguły w godzinach rannych. Wprost przeciwnie Ludmiła Bohdanowicz, znana mi z personelu bibliotecznego najdawniej, bo jeszcze z lat IFiS, kiedy próbowała pisać pracę doktorską. Teraz spotykam ją za biblioteczną ladą na dyżurze albo na korytarzu zazwyczaj wtedy, kiedy po zajęciach moich zamarudzę spotykając się z kimś, kto przychodzi na sam koniec mojego po-zajęciowego dyżuru, albo mam coś do przeczytania, czego nie chcę brać do domu.

Lech Koziński już jako doktorant IFiS zwracał uwagę niezwykłymi manierami, rzekłbym z XIX wieku, a i wyszukaną elegancją. Oprócz bibliotekarstwa zajmował się za czasów swojej funkcji kierownika biblioteki IFK pisaniem do prasy recenzji muzycznych. A zawsze strojny jak z żurnala i zawsze mówiący z lekką, dyskretną emfazą zdaniem o słownictwie, a zwłaszcza składni niezwykle wytwornej i wyszukanej.

Niech będzie teraz o sekretariacie z panią Urszulą Mazurek na czele, już wspomnianą przed chwilą z paroma słowami charakterystyki. Wszystko, co podziwu mojego i najwyższego uznania godne, wszystkie sprawności biuralistki, dla których mam respekt niekłamany, w niej się skupiły: niezwykle energiczna, szybka

i sprawna, z instrumentarium swoim papierowym i elektronicznym zawsze do natychmiastowego użycia gotowym, czas swojej pracy na wagę złota ceniąca, czaruje miłą powierzchownością, nie tylko urodą i wdziękiem, ale też elegancją i dowcipem. Dla studentów nowych surowo wychowawcza, zrugać zdrowo potrafi, z zaawansowanymi i już przez siebie wychowawczo oswojonymi serdecznie się zaprzyjaźnia, dziewczętom trochę matkuje, jako też i młodym pracownikom płci obojga (nie wiem, czy wszystkim, bom gapa, a ona bywa, że klasyfikuje ludzi wedle schematu czarne – białe). Dla mnie jest i była zawsze przedmiotem nie tylko podziwu, ale i pewnego lęku, do którego się przed nią pół żartem, pół serio nieraz przyznaję, a którym ją na starość darzę, tak samo jak za młodszych moich lat w IFiS PAN panią Danusią Załęcką, kiedy kierowanemu tam przeze mnie studium doktoranckiemu sekretarzowała. Taki to mój stereotyp: profesor powinien się bać sekretarki naukowego zakładu i także powinien być przez nią czasem rugany. Ale przecież zawsze to dla mnie miłe zdarzenie, kiedy jest okazja napić się z panią Urszulą kawy i poplotkować ździebko. Z nią i czasem też z panią Oksaną Radiną, jej współpracownicą, piękną damą rodem z Odessy, znawczynią też i nauczycielką muzyki, która często, kiedy pracuje w sekretariacie samotnie, słucha cichutko nastawionej muzyki, wybierając co znakomitsze koncerty w drugim programie Polskiego Radia. Była jeszcze do niedawna w sekretariacie i trzecia dama, Magdalena Bandurska, *de domo* Krawczyk, wysoka, młoda i urodziwa czarnula, teraz już nieco spoważniała mężatka, lecz lat temu kilka ledwie, kiedy pracując w sekretariacie była jeszcze studentką polonistyki, tym się odznaczała, że ubierała się według młodzieżowej mody, obficie odsłaniając latem nieskazitelnie biały, troskliwie przed słońcem chroniony brzusek. Mogę to napisać tutaj, bom jej to samo nieraz żartobliwie wypominał. Staremu dużo wolno.

Przechodzę do kolegów i koleżanek filologów. Jeśli uwzględnić osiemnastolecie mojej pracy, w którym ze studentów i doktorantów kilkoro młodych przepoczwarzyło się w pracowników, to i spora to ludzi gromada, i rozpiętość wiekowa niemała: najstarszy z żyjących byłby tu Oktawiusz Jurewicz, osiemdziesięcioczerolatek, najmłodszy chyba Krzysztof Rzepkowski, nie wiem, czy trzydziestkę już za sobą mający, pięćdziesiąt to więc lat tej wiekowej rozpiętości z okładem. Jakże tu ich wszystkich ogarnąć? Od najstarszych zaczynać czy od najmłodszych? Niech będzie, z szacunku dla tradycji, dla wieku i urzędu: od najstarszych.

Oktawiusz Jurewicz już się był pojawił we wspomnieniach z lat studenckich. Nie był mi wtedy szczególnie bliski, głównie dlatego, że choć o rok tylko ode mnie starszy, miał inny niż ja status, pozornie tylko wiekowy, faktycznie społeczny: kiedy przybył z Poznania, aby kontynuować studia w Warszawie, był już żonaty i miał – od razu lub niewiele później – dziecko. Pamiętam, jak siadując w bibliotece Drugiego Seminarium przy pracy miał zwykle przed sobą fotografię córeczki-maluszki. Taki przede wszystkim był jego status starszeństwa, a i to, że szybko załatwiał poszczególne etapy studiów. Kiedy podpisywał się używając

tylko inicjału imienia, dowcipne koleżanki odczytywały podpis jako „Ojciec Jurawicz”. Niezwykle pracowity, pod patronatem profesora Kumanieckiego szybko też po studiach robił stopnie, od razu zatrudniony na uniwersytecie. Teraz, z nowym rokiem 1992/3, stał się moim szefem jako dyrektor IFK i szefował mi tak lat kilka. I teraz dopiero zbliżyliśmy się do siebie, starsi panowie dwaj, na studiach luźno raczej tylko ze sobą, choć i wtedy przyjaźnie kolegujący. Dostawszy doktorat za rozprawę na modny we wczesnych latach pięćdziesiątych temat roli niewolników w komediach Plauta, rychło wyspecjalizował się jako greysta w bizantynologii, był też gramatykiem i leksykografem, gramatykę, grecką zwłaszcza, której napisał jakieś dziesięć lat temu akademicki podręcznik, wykładając zresztą po dziś dzień, tyle że w Instytucie Badań Interdyscyplinarnych UW. Nie znaczy to, że jest tylko greystą, bo i łaciną się zajmował wiele, współautor popularnego wielce podręcznika dla lektoratów uniwersyteckich i wydawca komentowanego dwujęzycznego wydania wszystkich utworów Horacego w dwu tomach.

Choć dziś już od lat czterech nieżyjąca, w momencie, kiedy zaczynałem pracę, była jeszcze – i sporo potem, także poza wiek emerytalny – czynna o parę lat od nas obu starsza Maria Pąckińska. Charakteryzowałem ją już we wspomnieniach z czasów studenckich. Teraz raz jeszcze przypomnę, że była ulubioną uczennicą profesora Adama Krokiewicza, że specjalizowała się za młodu z dobrym skutkiem w filozofii i zrobiła doktorat na podstawie pracy o Epikurze, po odejściu jednak Krokiewicza na emeryturę nie miała możliwości kontynuowania swoich filozoficznych zainteresowań i przekwalifikowała się na badaczkę romansu greckiego, z tej dziedziny robiąc habilitację (późną zresztą, jak to obarczona domem i dzieckiem – Markiem, dziś pisarzem i badaczem literatury – kobietą, słabego w dodatku zdrowia). Zmarła w Katowicach, dokąd się przed laty przeniosła do drugiego swojego męża, profesora medycyny Witolda Niepołomskiego, i skąd lat parę jeszcze na zajęcia do Warszawy raz w tygodniu czy raz na dwa tygodnie dojeżdżała. Dużośmy się po roku 1992 ze sobą kontaktowali odnowiwszy starą przyjaźń, a jeszcze na cztery lata przed jej śmiercią odwiedziłem ją w Katowicach, biorąc tam udział w filozoficznym przewodzie doktorskim Joasi Usakiewicz, dwukrotnie nawet, raz przyjechawszy na egzamin, drugi raz na obronę. Marysia była już chora, ale ogromnie się cieszyła z moich odwiedzin i nie bez dumy pokazywała mi, choć to była zima, przydomowy ogródek.

Chronologicznie (z wieku i urzędu) należy się teraz miejsce księdzu Markowi Starowieyskiemu, młodszemu ode mnie lat dokładnie dziesięć i poznanemu przelotnie już gdzieś przedtem, ale bliżej dopiero w IFK, gdzie został (chyba równocześnie ze mną) zatrudniony na pierwszym etacie, drugi mając w warszawskim Seminarium Duchownym. Wybitny specjalista z dziedziny starożytnej literatury chrześcijańskiej (współautor znakomitego leksykonu starożytnych pisarzy chrześcijańskich), dopiero z początkiem bieżącego roku akademickiego

przeszedł na emeryturę, zachowując jednak dalej pewne *quantum* zajęć zleconych. Małośmy się po prawdzie ze sobą na co dzień kontaktowali, rozmijając się dniami i godzinami zajęć, zajmowaliśmy też w IFK miejsca przeważnie w osobnych pokojach, ale parę razy byłem recenzentem jego magistrantów, a raz odbyliśmy wspólną podróż do Starachowic i Kałkowa na poświęconą profesorowi Kumanieckiemu sesję w tamtejszym II Liceum, zorganizowaną przez profesora tego liceum, doktora Władysława Pokrywkę, ostatniego doktoranta Kumanieckiego, doprowadzonego zresztą do doktoratu już po śmierci mistrza przez Marię Cytowską. Bardzo to było ciekawe doświadczenie ta wizyta w Starachowicach, gdzie mi obok innych rzeczy w owym liceum zaimponował duży zbiór tekstów klasyków rzymskich (a bodaj i greckich?) z teubnerowskiej serii, i w Kałkowie, niezwykłym zaiste sanktuarium męczeństwa Polaków od carskich prześladowań unitów aż po współczesność. Nocowałem w domu pielgrzyma, a byłem tam raz jeszcze dwa lata później, w dwudziestą rocznicę śmierci Kazimierza Kumanieckiego, upamiętnioną wmurowaniem tablicy ku jego czci w murze sanktuarium, o co rzecz jasna zadbał niezmordowany Władysław Pokrywka. Ale wtedy nie było tam księdza Starowieyskiego, od którego ten epizod wspomnień zacząłem.

Równieśnikiem prawie, o dwa tylko lata od Starowieyskiego młodszym i od samego początku z warszawską filologią związanym, którego zastałem tam jako profesora uczelnianego, był pracujący do tej pory Jerzy Wojtczak, od pewnego momentu używający też drugiego nazwiska Szyszkowski. Znałem go od dawna, co najmniej od jego doktoratu, którego daty nie potrafię oznaczyć, ale było to sporo przed rokiem 1977, jeszcze za aktywności profesora Kumanieckiego, jego promotora; pamiętam, bo byłem na obronie. Kilka lat po rozpoczęciu mojej pracy, pisząc mu opinię w sprawie nadania państwowego tytułu profesorskiego, miałem okazję dokładniej zapoznać się z jego dorobkiem i stwierdzić rozległość i wielostronność jego zainteresowań, to na przykład, że Wojtczak, w zupełnie dawnym stylu, jest *al pari* latynistą i grecystą, a znając go z czasów jeszcze prac kopernikańskich jako latynistę dobrze tłumaczącego na łacinę, zupełnie ubocznie dowiedzieć się i o tym, że wykonał (i pewnie dalej wykonuje) w niesamowitych rozmiarach przekłady na łacinę dokumentów kościelnych, że pisze bardzo dobre wiersze łacińskie o treści religijnej w różnym stylu i rozmaitych miarach od klasycznych do średniowiecznych rymowanych. Widywaliśmy się w IFK nieczęsto, bo nasze dni i godziny zazwyczaj się mijały, ale w rozmaitych formach współpracowaliśmy od dawna aż po dzień dzisiejszy, kiedy właśnie kończę recenzję z napisanej pod jego kierunkiem bardzo dobrej i bardzo nowoczesnej pracy doktorskiej Filipa Doroszewskiego o Nonnosie z Panopolis, tak jak przed wielu laty byłem recenzentem kierowanej przez niego na ATK pracy magisterskiej o Epikurze Kazimierza Pawłowskiego, obecnego profesora UKSW, jego po prawdzie *in philologia Graeca et Latina* ucznia, a także pracy magisterskiej o Archilochu, nie

pamiętam już czyjego autorstwa. Zresztą czytałem i jego samego prace rozmaite, od doktorskiej w pięknej łacinie o cyceronianizmie stylistycznym Laktancjusza poprzez habilitacyjną, jak sądzę, bardzo wartościową, o Ksenokratesie.

Z Jerzym Wojtczakiem musi mi się kojarzyć Jerzy Mańkowski, jego rówieśnik lub prawie rówieśnik. Jest dla mnie niedocieczoną tajemnicą, dlaczego ten człowiek nie jest dziś profesorem, dlaczego karierę swoją zakończył doktoratem i nie zrobiwszy habilitacji pozostał aż do emerytury (wcześniejszej niż profesorska) starszym wykładowcą uniwersyteckim. Jest to bowiem uczony o rozlicznych i nieprzeciętnych zdolnościach, filologicznych przede wszystkim, wiedzy ogromnej i gotowej, niezwykle też w mowie żywej i piśmie sprawny. Jeszcze dziś, myślę, mógłby się habilitować choćby zebrawszy jako rzetelną namiastkę monotematycznej rozprawy swoje liczne i świetne studia o Kochanowskim, którym się bardzo pomysłowo i bardzo owocnie od lat zajmuje. Kiedy go słucham na różnych konferencjach w różnych miejscach, kiedy czytam na przykład jego wnikliwe a bezlitosne recenzje, nie mogę odżałować, że takie zdolności nie owocowały jak należy, zwłaszcza że jest, jak się zdaje, także bardzo pracowity. Πολλὰ τὰ δεινὰ... Nie on jeden zresztą; znam takich więcej.

Młodsza od nich Helena Cichocka, też zastana w 1992 roku jako już habilitowana i wkrótce uczelniany profesor, potem obdarzona też państwowym tytułem, fizycznie odznacza się trochę nadludzkim wzrostem, intelektualnie zaś tym, że jest – po odejściu na emeryturę Oktawiusza Jurewicza – jedyną w IFK bizantynistką (fachowo i nie dość feministycznie trzeba by powiedzieć chyba: bizantynologiem), uprawiając zresztą także grezystykę klasyczną, gdzie – podobnie jak w bizantynologii – za główną dziedzinę badań obrała sobie retorykę, i to raczej teorie retoryczne niż retoryczną praktykę. Niewiele mamy wspólnych obszarów zainteresowań, ale dzielimy pokój i spotykamy się często w tych samych dniach i godzinach, teraz już tylko w środę, bo tylko w ten dzień przychodzę do instytutu. Niemniej przeto zdarzyło się kilka razy, że byłem recenzentem jej grezystycznych magistrantów, chyba tylko samych dziewcząt, w tym bardzo zdolnej Magdaleny Tkacz, z czasem też doktorantki, która swój doktorat zrealizowała *summa cum laude*, ale tuż przed nim wyszła za mąż i gdzieś pod mężowskim nazwiskiem Poremska przepadła. Za czasu swych studiów owa Magdalena, niewiarygodnie wygadana i śmiała, była z mistrzynią swoją, zachowującą poza tym wobec studentów raczej staroświecki hierarchiczny dystans, jakoś zaprzyjaźniona i nawet spoufalona: bywało, że zastawałem je w pokoju służbowym zajęte, jak mi to kiedyś koleżanka Cichocka zdradziła, teoretycznymi naradami nad techniką malowania rzeź i wspólnym malowaniem owego egzekwowaniu. Z samą Heleną Cichocką łączyło mnie i to jeszcze, że na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych znałem jej ojca Adama, też filologa klasycznego, który wtedy przychodził na seminarium czy na jakiś wykład do profesora Krokiewicza, bardzo wysoki, łysy starszy (w każdym razie od nas studentów dość wyraźnie) pan,

o którym się jeszcze i to wiedziało, że gra na skrzypcach. Córka odziedziczyła po nim zdolności i zamiłowania muzyczne i grywa sobie w domu na fortepianie czy pianinie, co mi już dawno zdradziła. Niezwykle sympatyczne było to, że się na starość opiekowała swoimi mistrzyniami, paniami Szelestówną i Cytowską, zwłaszcza tą drugą szczególnie troskliwie do samego końca.

Teraz z wieku należałoby się zapewne miejsce Jerzemu Axerowi, z urzędu wymienionemu na samym początku jako wicedyrektor IFK i ten, który mi pracę tam zaproponował. Już wtedy, niewiele ponad czterdziestoletni, był tak zwanym belwederskim profesorem, a nadto kierował już Ośrodkiem Badań nad Tradycją Antyczną w Europie Środkowej i Wschodniej (w skrócie OBTA), kreując jego wielkość z niebywałym rozmachem. Wtedy jeszcze była to mała komórka, zajmująca w siedzibie IFK pokój 113 (za żelaznymi wrotami) i zatrudniająca parę ledwie osób, personalnie i pracowniczo w większości związanych z IFK. Dopiero z czasem miała się usamodzielnąć, a dziś, pod nazwą zmienioną na Instytut Badań Interdyscyplinarnych Artes Liberales, jest chyba największą jednostką UW. Będzie tu jeszcze o niej i o Jerzym Axerze mowa przy okazji moich takich i owakich przygód. Tymczasem parę słów charakterystyki jego samego jako uczonego i jako osobowości. Po prawdzie żałować muszę, że nie miałem nigdy dość czasu, aby zapoznać się z większą liczbą jego prac, z lat młodych zwłaszcza; coś niecoś jednak czytałem i na tej podstawie oraz na podstawie częstych zwłaszcza w latach dziewięćdziesiątych, zróżnicowanych kontaktów, roboczych, ale i towarzyskich, myślę, że stać mnie na jako tako adekwatną charakterystykę tej najciekawszej bodaj osobowości ze środowiska warszawskich filologów klasycznych. Składają się zaś na tę osobowość nie tylko prace naukowe, ale bardziej jeszcze organizacyjne, menadżerskie. Naukowe zdobną przede wszystkim młodość tego najbardziej chyba udanego, a na pewno najbardziej ulubionego ucznia profesora Kazimierza Kumanieckiego, liczne rozprawy i edycje neolacińskie, ale też klasyczne Teubnerianum: Cycerona mowa *Pro Q. Roscio comoedo*. To niestety dziedzina jego twórczości bardzo słabo mi znana. Czytałem trochę więcej dopiero (drobnych przeważnie) prac nieco późniejszych, a największe chyba wrażenie zrobiło na mnie obok świetnego artykułu o liście Jana Kochanowskiego do Stanisława Fogelwедера i innego równie świetnego o intertekstualności subtelne i błyskotliwe zarazem studium o mistrzu, Kazimierzu Kumanieckim, w wydanej na progu niepodległości i demokracji książce o zmarłych starożytnikach warszawskich, zdecydowanie wyróżniające się w całym zbiorze, w którym mieli przecie udział autorski najlepsi z najlepszych. Inicjatywę i rozmach organizacyjny Jerzego Axera dokumentuje cała historia OBTA, o której nie mogę obszerniej opowiadać, ale nie tylko ona. To wielki światowiec, inicjator pełnych rozmachu imprez nie tylko krajowych, ale i międzynarodowych, przede wszystkim zaś współpracy naukowej, a zwłaszcza śmiałych przedsięwzięć dydaktycznych adresowanych do wschodnich sąsiadów Polski: Ukraińców, Białorusinów, Rosjan, rozmaitych

pomysłowych projektów badawczych związanych zarówno z dziejami kultury łacińsko-polskiej Pierwszej Rzeczypospolitej, jak i jej wszelakich *confinia Latina*. Pamiętam, jak wielkim była dla mnie przeżyciem w zimie chyba roku 1992/3 (albo może jeszcze o rok wcześniej) polsko-ukraińska konferencja na temat właśnie łacińskich treści historii i kultury ukraińskiej, podczas której mówiący dobrą polszczyzną mieszkańcy zachodniej Ukrainy przedstawiali swoje wykłady świadczące o ich związku nie tylko z grecką kulturą Bizancjum, ale i z łacińską Pierwszej Rzeczypospolitej. Jeszcze do tej aktywności i do mojego w niej udziału wróć. Na razie odnotować chcę na zakończenie imprezę jeszcze z czasów PRL, z roku 1988, międzynarodowe, a przede wszystkim polsko-włoskie Colloquium Tullianum, któremu współprezydowali jeszcze wtedy niewiele ponad czterdziecioletni Jerzy Axer i Giulio Andreotti.

Kolejność wiekowa każe teraz, jak mi się zdaje, wspomnieć o Małgorzacie Borowskiej, na początku lat dziewięćdziesiątych pracownicy IFK, potem zaś od pewnego momentu OBTA, czyli teraz IBI. *Filia paene postuma* poety i pisarza Tadeusza Borowskiego, odziedziczyła po ojcu rozliczne talenty: pisarski, czyli do literatury pięknej, który raczej skrywa, i bystrą, zawsze gotową inteligencję, o której wszyscy ze środowiska dobrze wiedzą. Rozległość i wszechstronność jej filologicznej formacji jest imponująca, choć zasadniczo głosiła się zawsze grezystką, a potem neogrezystką i dziś, od lat już, przede wszystkim w tym ostatnim obszarze twórczo pracuje. Rzecz to znana szeroko: już po doktoracie zrobiła w Grecji grecką maturę w języku, rzecz jasna, nowogreckim, którym mówi jak Greczynka i w ogóle jest znawczynią i tłumaczką nowożytnej literatury greckiej. Od paru dziesiątków lat nie jest neogrezystką w Polsce jedyną, przeciwnie, obserwuję tu i ówdzie coraz więcej filologów klasycznych mówiących tym językiem i literaturę współczesną grecką badających, ona jednak ma, takie odnoszę wrażenie, wśród nich staż chyba najdłuższy, a podejrzewam też, że i kompetencje największe. Dawniej, kiedy pracowała w IFK, kontakty nasze były częstsze. I potem jeszcze, kiedy coraz bardziej zaangażowana była w pracę w OBTA, zrazu stykaliśmy się relatywnie dość często, między innymi na zebraniach PTF. Od niej też przejąłem prezesurę Koła Warszawskiego, o której to i owo trzeba będzie tu jeszcze opowiedzieć osobno. Myślę, że się nie pomylę stwierdzając, że cieszę się sporą jej sympatią, co oczywiście bardzo jest i zaszczytne, i miłe, choć zarazem też w jakimś sensie trudne, bo przy szczególnym jej intelektualnym sposobie bycia, przy sposobie prowadzenia choćby najbanalniejszej konwersacji, przy którym stale pożądanym byłoby o wiele większy stopień *esprit d'à propos* niż ten, na jaki mogę się zdobyć, obcowanie z nią bywa zabawą trudną, choć zapewne pożyteczną. Pamiętam jej błyskotliwe kolokwium habilitacyjne i jej odpowiedź na nie dość chyba inteligentnie zadane przeze mnie, zbyt ogólnie sformułowane pytanie, które na jej pytanie pomocnicze musiałem uszczegółowić. Ha, cóż! Bywa, że cenne wewnętrzne moce niekoniecznie sytuują się po właściwych stronach

akademickich hierarchii. To tylko z Ewangelią harmonizuje przysłowie „nie jest uczeń nad mistrza”. Co wcale nie znaczy, iżbym miał jakikolwiek powód za jej mistrza się uważać, tylko że wtedy, na jej kolokwium, po stronie mistrzów zasiadłem z urzędu, choć żadne moje kompetencje mistrzowskie nie wchodziły w ogóle w rachubę. Niechże jednak tę moją melancholię rozpogodzi wspomnienie innego brawurowego występu Małgorzaty Borowskiej, tym razem w konwencji pół żartem, pół serio. Kiedy w roku 2004 Jerzy Axer urządził zamiast dyskusji nad głośną wśród starożytników książką Françoise Waquet *Le latin ou l'empire d'un signe* „sąd nad łaciną”, to jej wystąpienie było najbardziej aktorskie, najlepiej skomponowane, najlepiej wyreżyserowane, a przede wszystkim zwyczajnie i po prostu najdowcipniejsze jako płomienna mowa imitująca i zarazem parodiująca pierwszą Cyceronową katylinarkę.

Następne miejsce też się chyba należy koleżance, jeśli nie z wieku, to z urzędu. Myślę o wspomnianej już Barbarze Milewskiej-Ważbińskiej. Zastałem ją jako młodą panią doktor, dziś już od lat kilku ma państwowy tytuł profesorski, a była przez dwie kadencje, chyba więc przez lat sześć, moją zwierzchniczką, czyli dyrektorem IFK. Uczennica Marii Cytowskiej, przejęła od niej specjalizację neolatinistyczną i pracuje głównie nad literaturą nowołacińską późnego czasu – baroku i nawet oświecenia. Cicha i spokojna, raczej niepewna siebie niż przebojowa, zarządzała instytutem, o ile to ocenić potrafię, energicznie i chyba bez większych napięć i konfliktów. Moje z nią relacje były od początku pełne wzajemnej życzliwości, wręcz przyjacielskie. Zapamiętałem ją z najdawniejszych lat jako tę osobę, którą na jakimś dość tłumnym zebraniu w OBTA zapytałem, czy mogę obok niej usiąść, bo jest jedyną bez mała osobą mi znaną. Kiedy była dyrektorem IFK, żartobliwie zwracałem się do niej „szefowo”, co z powodu znacznej różnicy wieku miało, zamierzony rzecz jasna, efekt nieco komiczny. Najlepiej i z największą wdzięcznością pamiętam jej walny udział w organizowaniu setnego zjazdu PTF w 2004 roku łącznie z wizytą żebraczą w Ratuszu u prezydenta Warszawy Lecha Kaczyńskiego, później prezydenta Rzeczypospolitej, przed niewiele dniami pochowanego wraz z małżonką na Wawelu po makabrycznej katastrofie lotniczej w Smoleńsku. Razem z dwiema innymi, młodszymi rangą i wiekiem koleżankami, Magdaleną Popiołek i Marysią Poszepczyńską, wszystkie trzy bardzo mi pomogły w tym trudnym zadaniu, o którym opowiem jeszcze osobno. Teraz dodam tylko, że pół żartem, pół serio dokuczam Barbarze, że mnie jako „szefowa” zwolniła z przyjmowania egzaminów i kolokwii, dwornie uzasadniając, że szkoda na to mojego cennego dla instytutu czasu, po cichu zaś, jak się domyślałem, motywując sobie owo zwolnienie tym, że daję studentom zbyt wysokie oceny. Jak w każdym żarcie, tak i w tym jest co nieco prawdy. Nic to jednak, rzecz jasna, nie zmieniło w naszych miłych koleżeńskich relacjach. Dotąd, ze szczególną zaś intensywnością w ostatnich latach, czytamy sobie nawzajem przed oddaniem do druku niektóre nasze teksty z obopólną, myślę, korzyścią. Podsumować można

Barbarę Milewską-Ważbińską jako dobrego ducha środowiska. Nieoczekiwanie zaproponowała mi niedawno, żeby jej mówił po imieniu, bez wzajemności jednak, na którą się nie zgodziła. I tak to jest: przyjąłem propozycję bez oporu. Wiek korzysta ze swoich przywilejów: mogłaby przecież być moją córką.

Milewska-Ważbińska kojarzy mi się niemal automatycznie z drugą uczoną Barbarą, mianowicie Brzuską, nie tylko przez identyczność imion, ale przez incydentalny w istocie fakt, że obie były w tym samym czasie przez dwie kadencje w kolegium dydaktycznym IFK, Barbara Brzuska jako wicedyrektor do spraw dydaktyki, a od początku chyba mojej tam pracy była też i jest nadal kierowniczką zakładu dydaktyki, czyli zespołu osób nauczających języków klasycznych. Obdarzona subtelną inteligencją, niewolna od takich cech charakteru, które sprawiają, że nie chciałbym z nią być w konflikcie ani nawet sporze, upamiętniła mi się nie tyle od strony tych cech budzących we mnie niejaką obawę, ile od strony o wiele przyjemniejszej, jako redaktorka jednej z wydanych przez OBTA książek profesora Mariana Plezi, tej opracowywanej już po jego śmierci (*Okruchy ze stołu Arystotelesa i Cycerona*), upamiętniła mi się interesująco i miło, bo miałem i ja w tej imprezie wydawniczej swój bardzo skromny udział. Kiedy zaś o Barbarze Brzuskiej mowa, to nie sposób nie wspomnieć przynajmniej niektórych z jej podwładnych, dziś, po przejściu na emeryturę Stanisława Skały, samych kobiet, których jest liczba znaczna, tak że chyba bym na poczekaniu nawet wymienić wszystkich nie potrafił, a wśród których są i moje były studentki, jak Kasia Jasińska i Agnieszka niegdyś Radomska teraz Kubica, i Magdalena Popiołek z domu Wiktorko, i takie, które moimi studentkami nie były, ale które darzą mnie bardzo miłą przyjaźnią, jak Marysia Poszepczyńska, Dorota Sutkowska i Iwona Żółtowska. W większości nieutytułowane (oprócz Barbary Brzuskiej chyba jedna tylko Magdalena Popiołek ma doktorat), gdyż zaniechały z takich czy innych powodów zdobywania stopni, czasem zaś odkładają je *ad kalendas Graecas*, są to niewiasty wielce inteligentne, ba, utalentowane wręcz, czasem wielostronnie, a obciążone dużą liczbą godzin dydaktycznych, swoją pracę wykonują nie tylko sumiennie, ale i znakomicie – i zawsze myślę, a często im też przy okazji mówię, że jest to praca od podstaw, praca dla formacji filologicznej podstawowa, i miło mi jest słyszeć od studentów i nie-studentów pochwały pod ich adresem. Pracowite mróweczki, od których tak wiele zależy, ale które tak niewiele mają z tego i chwały, i dostatków. A przecież niektóre z nich zdobywają się i na piękne wykłady prezentowane na zebraniach PTF, jak Dorota Sutkowska, i na twórczość pisarską, jak Inga Grześcizak. [...] ¹

Już nie ulegnę pokusie osobnego, jednostkowego charakteryzowania następnej generacji młodych kolegów, których zastałem w roku 1992 jako asystentów, ani tym bardziej tych, których poznawałem jako studentów, a którzy stali się

¹ Czyniąc zadość życzeniu redaktora „Meandra” pomijam to, co napisałem tu o nim.

z czasem pracownikami IFK lub innych pokrewnych placówek uniwersyteckich. Jest ich liczba całkiem spora, jako też i aktualnych, a znanych mi lepiej doktorantów; każdy z nich jest ciekawy, każdy uzdolniony i z takimi czy innymi sukcesami. Z trójki zastanej na początku Maciejowi Staniszewskiemu, którego doktoratu byłem recenzentem (wespół z nieodżałowanym profesorem Jerzym Łanowskim, niezdolnym już do osobistego udziału w obronie i zmarłym niestety wkrótce po niej), z powodu jakichś przeszkód opóźniło się naukowe *curriculum* i jeszcze się nie habilitował. Mam nadzieję, że nastąpi to w wymiernym czasie i że zrealizuje się ten niezwykle zdolny i znakomicie wykształcony filolog. Dwaj inni – Jarosław Jakielaszek, filolog-językoznawca, i młodszy Robert Sucharski, też przede wszystkim językoznawca, a to nie tylko grezysta, ale i mykenolog, obaj racjonalnie pracowici, dawno już więc obaj habilitowani i na stanowiska profesorskie powołani, zachowali z IFK tylko luźne i wtórne związki dydaktyczne, stale zaś pracują pierwszy w którymś z instytutów językoznawczych UW, drugi w OBTA-IBI, obaj ludzie zdolności niezwykłych i wiedzy ogromnej, uczeni prawdziwie nowoczesni, dobrze się, jak myślę, czujący w nowoczesnym świecie. Następnii, sporo już młodsii, to Krzysztof Rzepkowski, wykształcony na Międzywydziałowych Interdyscyplinarnych Studiach Humanistycznych, bardzo zdolny, bardzo szybko naukowo dojrzały i bardzo szerokim idący nurtem, choć chyba głównie albo wyłącznie latynistycznym, którego rozprawy doktorskiej o pseudo-Plautyńskim *Querolusie*, napisanej pod opieką Barbary Milewskiej-Ważbińskiej, byłem recenzentem; to dalej dwaj świetni grecyści, Jan Kwapisz i Jan Kozłowski, pierwszy wypromowany przez Mikołaja Szymańskiego na podstawie napisanej po angielsku pracy o hellenistycznych *carmina figurata*, drugi, doktorant księdza Marka Starowieyskiego promowany na podstawie również świetnej pracy z piśmiennictwa patrystycznego (o męczeństwie Polikarpa i paralelach literackich). Ostatnio przybył do nich jeszcze jeden grezysta, Filip Doroszewski, który za niewiele tygodni będzie bronić pracy o Nonnosa z Panopolis parafrazie Ewangelii św. Jana, ja zaś mam przyjemność być jej recenzentem. Nie wymieniam już tych, którzy swoje rozprawy doktorskie kończą lub dzielnie tworzą, których jest gromada spora i nie warto zestawiać tu ich katalogu, skoro nie sposób pisać ich charakterystyk. Ogólnie można podziwiać ich uzdolnienia, rzecz jasna zróżnicowane, ich zapał, ich wreszcie nowoczesną formację i obycie w świecie, z czym łączy się czynna przeważnie znajomość języków, którą zawdzięczają nie tylko swej pilności, ale i możliwości uczenia się *ex auditu et in vita cotidiana* za granicą, co jest przywilejem pokoleń odbywających studia po roku 1989, tak samo jak kłopotem większości z nich jest trudność i niepewność uzyskania pracy w zawodzie, często też sensownej pracy poza zawodem, nie mówiąc już o pracowniczej stabilizacji. Każdy czas ma swoje kłopoty.

Zanim jednak zamknę te indywidualne charakterystyki i ten już chyba zbyt długi sumaryczny rejestr, dwu jeszcze osobom należy się każdej dłuższy *passus*,

choć były już tu o nich wcale obszerne wzmianki. To Włodzimierz Olszaniec, mój jedyny wypromowany w IFK przed dziesięciu laty doktor, i Cyprian Mielczarski, również mój przed wielu laty doktorant jeszcze w IFiS PAN, obecny dyrektor IFK. Ze względów kompozycyjnych dam pierwszeństwo Olszańcowi. Skoro bowiem poczet scharakteryzowanych pracowników naukowych i dydaktycznych rozpoczął pierwszy za czasów mojej pracy dyrektor Oktawiusz Jurewicz, skoro była pośrodku mowa o następnie dyrektorującej Barbarze Milewskiej-Ważbińskiej, to z urzędu się w tym poczcie dyrektorskim i Cyprianowi Mielczarskiemu miejsce należy, a dla kaprysów kompozycji należy mu się na końcu tego pocztu, a dodatkowo jeszcze tutaj dla kaprysu semantyki łacińskich przymiotników, bo *ultimus* i *novissimus* to przecież w pewnej mierze synonimy.

Zacznijmy jednak od Włodka Olszańca. Trzeba o nim powiedzieć egocentrycznie to przynajmniej, że jest jednym z dwu moich niegdysiejszych doktorantów, co do których mam mocne przekonanie, że jakoś ukierunkowałem ich zainteresowania i że to w sposób istotny oddziaływało na ich dysertacje. Nie znaczy to nic więcej niż to, co powiedziałem, i spieszę dodać, że rozprawa i jednego, i drugiego była autorska i twórcza, że jedna i druga rozprawa była lepsza od tego, co ja bym na obrany przez każdego z nich temat potrafił wymyślić i napisać; idzie o pierwszy impuls, o ukierunkowanie zainteresowań, nic więcej. Pierwszym z nich był Dariusz Karłowicz, mój przygodny słuchacz na ATK, który, wykształcony tam w filozofii między innymi przez profesora Mieczysława Gogacza, tomistę, znakomitego z całą pewnością jej nauczyciela, a nadto też w patrologii, między innymi przez nieżyjącego już księdza profesora Emila Stanulę, tak się zafascynował moimi wykładami metafizycznymi, że sam sobie obrał metafizyczny i patologiczny zarazem temat, który roboczo określił za pomocą formuły *Męczeństwo jako kategoria filozoficzna*. Lecz zrobiwszy w IFiS PAN, gdzie był na stypendium doktoranckim, swój wielce błyskotliwy doktorat, odszedł do innej pracy, po części menadżerskiej, po części intelektualnej na bardzo wysokim poziomie, ale drogi nasze rozeszły się i nigdy się już najpewniej nie zjedną. Po nim trafił mi się Włodek Olszaniec, uczestniczący przez aż dwa lata (1995/6 i 1996/7) w moim filologicznym neolatynistycznym seminarium edytorsko-translatorskim razem z dużą grupą innych ciekawych studentów, z których spora część pozostała przy profesji filologicznej i zrobiła lub robi w niej naukową lub paranaukową karierę. Świetnie od zarania studiów wykształcony filolog klasyczny i równie świetnie wykształcony italianista, magisterium zrobił z *De vulgari eloquentia* Dantego u profesora Jerzego Axera, z moim udziałem recenzenckim, zaraz potem jednak lub nawet równoległe, zdolny i pragmatycznie pracowity, wystartował od Leonarda Bruniego, któregośmy rozprawkę *De interpretatione recta* przez dwa lata na seminarium czytali, przekładali i komentowali, i najpierw napisał piękną rozprawę doktorską o jego przekładzie *Listów* Platona, którą obronił chwalebnie w roku dokładnie 2000, a niedawno i rozprawę habilitacyjną, której bohaterem

jest i Leonardo Bruni, i jego polemista Alonso de Cartagena, i Marsilio Ficino, i paru jeszcze mniej znanych humanistów włoskiego Quattrocenta, a przedmiotem teoria i praktyka przekładania z greki na łacinę. Kiedy piszę te słowa, jest wieczór w przeddzień jego (przez głupią pomyłkę biurokratyczną o pół roku spóźnionego) kolokwium habilitacyjnego, w którym mam uczestniczyć jako członek prowadzącej tę habilitację komisji (teraz nazywa się zespołem). Wielka to radość dla mnie, że odegrałem rolę jakiegoś bodźca, że swoją dydaktyką również we Włodku Olszańcu obudziłem zainteresowania, które dzięki wielkim jego zdolnościom i równie wielkiej pracowitości tak znakomicie owocują.

Cyprian Mielczarski nie otrzymał ode mnie żadnego bodźca. Był uczniem profesor Marii Cytowskiej, od niej przejął zainteresowanie gramatyką i zapewne gotowy już temat przyszłej pracy doktorskiej przynosząc go w roku chyba 1978 na studium doktoranckie w IFiS PAN. Miałem najbardziej filologiczne zainteresowania wśród tamtejszych historyków filozofii dawnej i przeto do kierowania taką pracą byłem najbardziej predestynowany. Kierowanie było raczej formalne niż merytoryczne, bo też i praca innego nie potrzebowała: rzecz była dobrze przemyślana i realizowana umiejętnie, choć nie bez przeszkód. Cyprian bardzo szybko, jeśli dobrze pamiętam, pierwszą wersję pracy napisał, ale ożeniwszy się na samym chyba początku swych studiów doktoranckich, zanim pracę doprowadził do dojrzałej postaci, miał już pierwsze dziecko i potrzebował pieniędzy na utrzymanie rodziny. Wybierał się na saksy, zdaje mi się, że najpierw przez Francję do Szwajcarii, gdzie na stypendium była jego żona Małgorzata. I z tym wyjazdem była cała awantura. Cyprian jechał samochodem. Za radą żony wziął ze sobą swój magisterski dyplom uniwersytecki, żeby mu ułatwił znalezienie w Szwajcarii dobrej pracy. Również ode mnie dostał coś na drogę, mianowicie dwa listy. Korzystało się wtedy do takich celów z cudzych wyjazdów, bo poczta działała fatalnie, zapewne częściowo przynajmniej dlatego, że niektóre listy kontrolowała cenzura. Jeden list był do francuskiego uczonego księdza André Godina, napisany rzecz jasna po francusku, krótki i rzeczowy, grzecznościowy raczej niż merytoryczny. Drugi, po polsku, do mojego kolegi i przyjaciela Zenona Kałuży, napisałem w konwencji żartu, wręcz wygłupu, na dobrą sprawę o niczym, naszpikowawszy go poetyckimi głównie cytatami. Jako porządny obywatel, nie mający nic do ukrycia przed strażą graniczną i celnikami, mój doktorant zarówno swój dyplom magisterski, jak i oba listy położył na samej górze walizki w taki sposób, żeby od razu były widoczne. Niestety, obecność dyplomu zaszkodziła najbardziej: był zakaz wywożenia takich dokumentów za granicę. Przy okazji podpadły i listy. Cyprian został zawrócony z granicy, wypytywano go, co naprawdę jest w tym liście do Zenona, bo jakiś dziwny, i chyba listów mu nie zwrócono, a jeszcze SB chciało go skaptować do współpracy. Dalej – a może wcześniej – też były przygody. W którymś momencie oznajmił mi, że z doktoratu rezygnuje, bo musi zarabiać na utrzymanie rodziny i właśnie wybiera się znów na saksy. Argu-

mentem, że muszę się rozliczyć z IFiS PAN jako jego opiekun, zobligowałem go do pozostawienia mi maszynopisu owej pierwszej wersji pracy. Potem urobiłem Małgosię Mielczarską, żeby go nakłoniła do wykończenia pracy. Trwało to długo, ale ostatecznie dobrze się skończyło, a po latach, myśląc o habilitacji, Cyprian wydał swoją pracę doktorską: bardzo to instruktywna książka, z której sam skorzystałem wiele. *Docendo discimus*, jak mówi łacińskie porzekadło. Wybrany parę lat temu, jeszcze przed habilitacją, na dyrektora IFK, poczyną sobie, na ile to mogą rozeznąć, dzielnie w zakresie swoich obowiązków menadżersko-administracyjnych i ma bardzo pragmatyczne pomysły co do przystosowania studiów filologii klasycznej do nowych warunków życia i nowych potrzeb, wspierając i propagując powiązanie z nimi nowocześniejszych dyscyplin, takich jak antropologia kulturowa czy jako równoległa specjalizacja kultura renesansu. Nie mam wyraźnego stosunku do tych nowości, ale staram się być jak umiem i co do nich pomocny.

ARGUMENTUM

Auctor narrat, quomodo post multos annos redierit in Institutum Philologiae Classicae Universitatis Varsoviensis, ubi quondam studiis antiquitatis operam dederit. Suis acroasibus seminariisque descriptis, dicit aliquid de suis collegis, qui ibi docendo operam dant.